

Zapomniane słowa? Nie, wręcz przeciwnie – niezapomniane słowa. Słowa, których nie da się zapomnieć...

Krakowskie zielone Błonia. Lato. Upał. Miejscami już wysuszona, spelzła, wypalona słońcem trawa, jej zapach, a właściwie zapach krowich placków i widok nielicznego stada krów pasących się w oddali na końcu Błoń, pod kopceni. Siedzimy z dwoma braćmi i z ojcem na ławce gdzieś na wysokości ulicy Reymonta, przy asfaltowej szerokiej ścieżce deptaku... Ojciec mówi niecierpliwie:

– No, pijcie wreszcie tę **krachlę** i idziemy dalej!

Nikt z nas nie pyta, co to **krachla**. Wpatrzni jesteśmy w tego, który dzierży butelkę, czy nie przekroczy umownej kreski (mamy jedną butelkę do podziału na trzech). To chyba oczywiste, że **krachla**, to w tutejszej mowie, a po naszymu (po warszawsku): **oranżada**, chociaż znawcy mi teraz mówią, że to tylko nazwa butelki zamykanej porcelanowym korkiem otoczonym gumowym pierścieniem, umieszczonym na metalowej konstrukcji – ruchomej klamrze – kabłąku (wykonanym z grubego drutu) otaczającym szyjkę butelki. Skupieni jesteśmy nie na słowie, ale na tym, żeby ktoś nie oszukał i nie wypił o łyk więcej z kolejnej, umówionej działki przypadającej na następnego. Pijemy według starszeństwa. Ja na końcu, mam więc najmniejsze szanse.

Zazwyczaj **oranżadę** w Warszawie, a tu **krachlę** otwiera się z fantazją, najpierw potrząsając zamkniętą butelką. Już widać przez grube szkło unoszące się do góry, pieniające się pod korkiem bąbelki. Teraz wystarczy jednym raptownym, zdecydowanym ruchem, z całej siły uderzając kantem dłoni w kabłąk, odbezpieczyć korek i uzyskać właściwy efekt wielkiego wybuchu towarzyszący otwarciu butelki. Tym razem jednak – aby mieć pewność, że nie uрони się ani jednej kropli – na taki ruch może sobie pozwolić dopiero ten drugi w kolejce. **Krachla** – **oranżada** – szampan (choć jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, co to jest): prawdziwy smak dzieciństwa.

Tak samo i drugie, tamto inne słowo: **sztolwerek**.

– Daj **sztolwerka**...

– Chcesz **sztolwerka**?

– Weź **sztolwerka**...

Sztolwerek to cukierek. Nie byle jaki cukierek. Nie landrynka, nie drops, nie sugus. To cukierek zawinięty w papier, celofan, sreberko (zazwyczaj czy najlepiej: czekoladowy). Nie mieliśmy jeszcze wówczas okazji skosztować mieszanki czekoladowej (może nawet wtedy jej jeszcze nie było?) – znanego później a zawsze trudno dostępnego rarytasu z pierrotami i bajecznymi – produkowanej w słynnej warszawskiej firmie czekolady Wedla, która po wojnie nosiła nazwę

ZBIGNIEW
BENEDYKTOWICZ

Zapomniane słowa: Krachla i sztolwerek – Serwus, serwus..., Kristikotka Szamaliner!

22 Lipca – dawniej E. Wedel. (Zapomniane słowa... Czy do nich należy też **22 lipca**? Był nawet wtedy taki kalendarzowo-państwowo-rocznicowy dowcip związany z tym „świętem”: „A co to jest 22 lipca? – Dawniej E. Wedel”).

Krakowskie **krachle** i **sztolwerki** poznawaliśmy i przyjmowaliśmy naturalnie, bezrefleksyjnie, organoleptycznie, zmysłowo, białą i czerwoną **Krachlę** według ich smaku, po ściekających po brodzie słodkich kropkach, i musujących pod podniebieniem i w nosie eterycznych efektach, po klejących się resztkach cukierków, na „uwalanych” i oblizywanych palcach obu rąk, wycieranych w koszulę i spodnie („Aleście się znów uwalali!”). Zawsze przede wszystkim dbaliśmy o sprawiedliwość i baczili na równy podział. Żeby było po równo. Nikomu nie przychodziło do głowy pytać o znaczenie i pochodzenie tych słów. Były oczywiście jak ich smak – przejrzyste przylegający do rzeczy.

Dla ojca była to z pewnością zarazem tajna i jawna, ale też ukryta lingwistyczna gra, zabawa ze słowami i językiem. Test na naszą językową wytrzymałość (jak zareagujemy na nowe, obce, nieznanne nam, niezrozumiałe w naszej warszawskiej mowie – tamte, miejscowe, krakowskie słowa); eksperyment, a także z pewnością subtelna, wyrafinowana gra i rozmowa z własną pamięcią, różnicą czasów i pokoleń. Gra i zabawa słowami podejmowana później i kontynuowana przez nas samych z całą świadomością w dojrzałych i starszych latach, kiedy **sztolwerkiem** nazywaliśmy już każdy cukierek nadający się do poczęstowania, który w ten sposób stawał się tamtym pamiętnym, niezapomnianym, tajemniczym – „swoim” i „obcym” – niezwykle słowem.

Krachla i **sztolwerek** – te „galicjanizmy” czy „karkaueryzmy”, które poznawaliśmy i których doświadczaliśmy w dzieciństwie, coraz częściej stopniowo uruchamiały całą lawinę (?), falę (?), fontannę – żeby trzymać się już bardziej obrazu tej wybuchowo płynnej **krachli** niż **sztolwerka** – innych słów, które stawały się przedmiotem naszych żartów, kpín i śmiechów. Do nich należały słowa takie jak **weka** (**weki**), **precle** (**pretzle**)

i **obarzanki**, czy obnażające w sposób dogłębny różnice pomiędzy Krakowem a Warszawą **kremówki** i **napoleonki**. Warszawska **napoleonka**, jaką znaleźmy – ciasto z jasnożółtym śmietankowo-budyniowym kremem ujętym w dwa cienkie płatki delikatnego, kruchego francuskiego ciasta, u góry posypana i przykryta białym słodkim pudrem – była (i jest do dzisiaj) w Krakowie **kremówką**, zaś „**napoleonka**” w Krakowie była dla nas (i tak pozostaje do dzisiaj) zupełnie innym ciastkiem, tak bowiem miejscowi nazywają o wiele wyższą od napoleonki warszawskiej konstrukcję składającą się z gęsto ubitego i bardziej „stojącego”, sprężystego i nierozlazłego jak budyń, przesłodkiego, różowego kremu, ujętego w podstawie i u góry w grubsze, bardziej wilgotne płatki półkruchego ciasta.

– Trzeba jeszcze kupić **wekę**...
 – Muszę jeszcze kupić **wekę**...
 – Proszę, idźże do tej piekarni, wiesz, tej koło placu Na Stawach i kup dwie **weki**...

– mówiła babcia. (O, a to krakowskie: **idźże, idźże...**, **idźże, idźże kłarnecie...**, **idźże, idźże bajoku...**?)

Weka to bułka. W Warszawie taką samą podłużną, dużą (trochę mniejszą i zgrabniejszą od chleba) jasną bułkę nazywało się wtedy (teraz już rzadko słyszy się tę nazwę) – bułką paryską. Zanim – tuż przed transformacją – w kraju nad Wisłą pojawiły się prawdziwe, wysmukłe, wąskie i długie francuskie **bagietki**, **bułkę paryską** (w sklepach spożywczych i supersamach czasów gierkowskich) zaczęła zastępować i wypierać **bułka wrocławska**. Być może jakiś wpływ na to stopniowe przekształcanie się nazw **paryskiej bułki** miało uznanie granicy na Odrze i Nysie. W ten sposób Zachód, a nawet i Paryż pod postacią **wrocławskiej** zaczęły się wtedy zbliżać i oswajać (ale też ukrywać), zanim pojawiły się nad Wisłą – już na dobre i we właściwym swym kształcie – paryskie, francuskie bagietki. Możemy o tym usłyszeć jeszcze w filmie Andrzeja Wajdy *Wszystko na sprzedaż* (1968) w pamiętnej scenie, w której Wiesław Dymny (pan Wiesio) z przytroczonymi paskami-szelkami u ramion – skrzydłami polskiej husarii – na planie batalistycznego filmu opowiada reżyserowi (Andrzejowi Łapickiemu) nieznany, niezapisany scenariusz autorstwa tragicznie zmarłego aktora (Zbigniewa Cybulskiego):

– No i przygotował dla niej tę kolację, kupił jakieś pudełko sardynek, sery, *pakiętkę*, *wę róż* [*vin rouge*]...

– Bagietkę – poprawia go Łapicki i drąży:

– No i co dalej?

– No nic, a ona nie przyszła...

Widać, że słowo „bagietka” (*pakiętkę*) nie było jeszcze wtedy powszechnie znane i używane.

Wracając do tych krakowskich galicjanizmów (galicyzmów?), do których należą tu tytułowe **krachla** i **sztolwerek**: sprawa z nimi jest o tyle skomplikowana, że nie do końca wiadomo, które z nich są do dzisiaj

żywe, a które zapomniane, w jakim stopniu pozostają w użyciu, w jakim są powszechne, a w jakim należą już jedynie do języka szyfrów lokalnych czy rodzinnych.

Jeszcze większą komplikację stwarza to, że zasłyszane wtedy te pierwotne galicyzmy wywołują i pociągają za sobą cały rój słów związanych z **PRL-em** (a czy **Pe-er-el** to też już zapomniane i wyparte słowo?). Te z **PRL-u** towarzyszą im, nakładają się na nie. Ów proces nakładania się nowych, współczesnych znaczeń i skojarzeń w zasadzie trwa nieustannie. Najlepszym przykładem może być wspomniana **kremówka**. Po jej słynnej wadowickiej przygodzie ogłoszonej *urbi et orbi* nie wiadomo, czy kremówka, którą spożywamy i raczymy się w Krakowie dzisiaj, jest nadal tą samą krakowską bądź w ogóle szeroko pojmowaną galicyjską kremówką, czy już tą nową „ogólnopolsko-wadowicko-papieską”? I czy ta nowa nie usunie w cień i w zapomnienie – pojawiając się nawet w warszawskich cukierniach i podbijając całą Polskę – warszawską **napoleonkę**? A co dopiero mówić o zachowaniu w pamięci tych subtelnych leksykalnych i pozostających na tym słownym, nazewniczym poziomie, rozgrywających się pomiędzy nimi geograficznych rozróżnieniach. Słowa żyją, obrastają w nowe niuanse, wchodzą w nowe konteksty, wytwarzają neologizmy. Całkiem niedawno w jednym z komentarzy po wyborze papieża Franciszka pewien autor „Tygodnika Powszechnego” pisał o tym w odniesieniu do zaskakujących gestów oraz zachowań nowego papieża. W odniesieniu do tego, jak są przyjmowane, przestrzegał przed łatwym i powierzchownym ich odbiorem, przed tym, by nowego papieża tak łatwo i pochopnie nie **skremówkować**, tak jak to uczyniliśmy z „naszym papieżem”. Powstaje więc zasadne pytanie, czy i **kremówce**, a zwłaszcza jej odpowiednikowi w wersji warszawskiej – **napoleonce** – i w ogóle owym wspomnianym subtelnym rozróżnieniom pomiędzy **kremówką** a **napoleonką** nie grozi podobne niebezpieczeństwo **skremówkowania**?

Pośród tych krakowskich galicyzmów znajdował się i **bil**. „Dzisiaj zrobimy sobie **bilu**” – mówiła babcia podczas swych wizyt w Warszawie, gdy towarzyszyłem jej podczas zakupów na Polnej i przygotowań w kuchni, zapowiadając w ten tajemniczy sposób kolejny swój prosty kulinarny majstersztyk. Czasem dodawała: „Podczas okupacji mówiono, że jak ktoś miał słoiczek **bilu**, to już było coś, to łatwiej było jemu przeżyć”. **Bil** – jak miało się wkrótce okazać – był to (po warszawsku mówiąc) domowej roboty, powstający z przetopionej słoniny **smalec** (jak jeszcze inni i gdzie indziej mówią: **szmalec**). **Bil** babci był najprostszym produktem – bez żadnych dodatków, jakie dane mi było poznawać i smakować znacznie później, gdy do robionego domowym sposobem smalcu, już w latach późnego socjalizmu, kulinarna inwencja i doświadczenie innych nakazywały dodawać majeranek, smażoną i surową cebulkę, cienko pokrojone płatki z jabłka, a także

skórki z niego, które nadawały dodatkowy smak i aromat oraz tworzyły swoisty bukiet pomieszany wraz ze skwarkami pozostającymi na końcu z wytapianej słoniny, zamknięty w jednym naczyniu. W przeciwieństwie do tego krakowski **bil** babci był produktem czystym jak biel, składającym się z dwu odrębnych części: (1) zbieranego i przelewanego stopniowo łyżką z patelni do słoika roztopionego tłuszczu, który miał na początku, gdy był gorący, kolor lekko brązowy, miodowy, i (2) osobno zbieranych, wytopionych z pokrojonej na drobne kostki, surowej białej słoniny i pozostających z niej na końcu, na patelni, skwarek. Te ostatnie służyły potem do okraszania kartofli lub robionych przez babcię ruskich pierogów – a te były już prawdziwym jej mistrzostwem, mistrzostwem świata, jeśli chodzi o proporcje zawartego w nich białego sera, ziemniaków, smażonej cebulki i pieprzu. Czasami babcia mówiła: „Weź, spróbuj sobie, ukrój **weki** z **bilem**, jak chcesz, możesz posypać skwarkami”. Ale żeby móc to zrobić, należało cierpliwie odczekać swoje. Ileż razy spojrzenie biegło do tego odstawionego słoika czy naczynia, aż nie nastąpiła w nim w końcu (no, kiedy to się stało?) dająca się zauważyć dopiero po dłuższym czasie (niekiedy trwało to przez cały dzień czy noc, bo nie było przecież lodówek) ta tajemnicza i zawsze nieuchwytna przemiana brązowego płynu w śnieżnobiały **bil** – smalec.

Na krakowskie, galicyjskie (zapomniane/niezapomniane?) słowa, jak **krachla**, **sztolwerek**, **weka**, **bil**, gdy je sobie przypominam, wywołuję i gdy je wymawiam, nakładają się i inne, nie tylko te, w których zapisana jest różnica pomiędzy **południem** a **północą** (Galicją, Małopolską, krainą Błoń-Krakowem a Królestwem, Mazowszem, krajem piasku-Warszawą, w której wychodziło się – i wychodzi do dzisiaj – nie, jak w Krakowie, **na pole**, lecz **na dwór**). Napływają słowa, które się mieszają, przywołując pamięć dzieciństwa przypadającego na ów dziwny konglomerat powojennych czasów, na który – na to, co w nim było dawne i co należało do przeszłości – nakładały się doświadczenia oraz słowa płynące ze szczególnego socjalistycznego (**peerelowskiego**) społeczno-kulturowo-językowego eksperymentu, jakiemu byliśmy poddawani, mieszając się z doświadczeniami, zjawiskami, słowami globalnymi, przybywającymi ze świata i należącymi już do nowych czasów.

Ot, chociażby taka pojawiająca się niekiedy obok **krachli**, **kremówek**, **napoleonek** i **sztolwerków**, sprzedawana już wówczas w krakowskich prywatnych sklepikach **guma do żucia**. Długi czas nie mogłem zrozumieć śmiechu dorosłych (ani wybaczyć im tego), gdy ciotka Zosia, która prowadziła w Krakowie **sklepik z krachlą**, słodyczami i **oranżadą w proszku**, sama zaśmiewając się przy tym, opowiadała, jak to „zaafrowane dzieciaki” wpadały do niej parę razy dziennie, głośno pytając od progu: „Czy jest **guma do życia**?!”. Nie mogłem zrozumieć tego śmiechu ani wybaczyć ciotce i innym dorosłym takiego braku zrozumienia

dla prawdziwej pasji poszukiwawczej związanej z tym, co naprawdę się wtedy dla nas liczyło i co miało dla nas wartość szczególną, bezcenną – ach, ci dorośli niczego nie rozumieją! Dopiero po latach, znacznie później zacząłem się zastanawiać, czy może w tamtym szczerym śmiechu dorosłych z **gumy do życia** nie kryła się też i jakaś dwuznaczność rodem z ducha Boya-Żeleńskiego, rzecz przecież działa się w Krakowie.

A więc obok takich krakowskich słów jak **piszinger/piszngier** – w którego skład wchodziły **andruty** (wafle przekładane masą kakaową czy czekoladową), obok słów, w których zapisywały się wspomniane różnice pomiędzy obiema krainami, zaznaczanych przeze mnie dalej odpowiednio **wytłuszczonym**, **grubym**, **boldowym** drukiem dla Krakowa, a w nawiasach prostym i jasnym dla Warszawy, jak **szwajcar** (w Warszawie: portier, jak na przykład ten, który w *Pamiętasz była jesień...*, śpiewanych przez Sławę Przybylską – „z uśmiechem dawał klucz”)... Albo ta niezapomniana scena: w latach stanu wojennego, w holu krakowskiego Wierzyńka, gdy właśnie taki miejscowy krakowski **szwajcar** – portier przebrany w wymyślny, pyszny, elegancki strój, występujący w czymś pomiędzy krakowską, chłopską sukmaną i staropolskim, szlacheckim żupanem (dwa w jednym) – przemawiał do zagubionej wycieczki japońskich turystów. I aby być lepiej zrozumianym, coraz wyraźniej wymawiał, dzielił i akcentował słowa, machając przy tym zamasyżycie rękami, przed zmarznąłą i osłupiałą grupą Japończyków, zagradzając im drogę, parokrotnie powtarzał: „**Nie ma miejsca. Nie ma miejsca... Mówię Państwu wyraźnie, że nie-m-a- m-i-e-j-s-c-a!**”.

A więc obok takich zapisujących wspomniane krakowsko-warszawskie różnice słów, jak **kapiszon/kapuz** (kaptur), **paradelka** (parasolka), **cwikiery** (okulary), **ganek** (balkon), **ofrankować** (nakleić znaczek na list, wysyłaną pocztę), ciśnie się na usta rój pomieszanych, zapomnianych/niezapomnianych słów. Zacieśniają one granice starych i nowych czasów, w których w przedziwny sposób mieszają się właśnie słowa związane z granicami i strzegącymi ich oraz stojącymi na ich straży cerberami jak **stróż/stróżka** (dozorca/dozorczyńni czy warszawskie: „dozorczyńia” lub „cieciowa”/„cieć”), którzy w socjalizmie (już ponad geograficznymi i kulturowymi granicami) zostali zamienieni w dumnie i szlachetnie, oficjalnie i zawodowo brzmiących **gospodarzy domu**, jak ten najbardziej znany z emblematycznego, filmowego portretu *Alternatywy 4* – o nazwisku Anioł.

Obok słów starych, szlachetnych, mających swój smak pojawiają się słowa i znaczenia nowe (czasami są to te same wyrazy), należące już jednak do siermieżnej, szarej, wymownej, czasami karykaturalnej peerelowskiej rzeczywistości. W zadziwiający sposób cisną się tu na usta zapomniane słowa związane ze strojem, zabawami dziecięcymi, smakołykami i smakami powojennego, socjalistycznego dzieciństwa i takiejże rzeczywi-

stości, w której brakowało wysiłku i dążeń do lepszego, „wyższego” świata. Więc, obok **krachli** i **sztolwerków**, i wspomnianych już **irysów**, **sugusów**, **landrynek** i **dropsów**, od razu przychodzą na myśl **raczki** zakłète, jak w białej porcelanie, w twardej (jakże niebezpiecznej dla zębów), otoczonej perłowobiałą warstwą bryłce karmelu, pomalowanej dwoma cienkimi paskami czerwonego koloru, czy **blok herbatnikowy**, **śmietankowy**, **kakaowy**, **czekoladowy**, **marmolada** (**marmelada**), **krajanka**, produkowane do dzisiaj **petit beurre’y** (**ptibery**, **petitbery**), **prince polo** i niezapomniany, już nieużywany, a wówczas jedyny dostępny latem w sklepach napój: **płynny owoc**.

Wymieniam je tu już jednym tchem, tak jak napływają chaotycznie, poza i ponad granicami regionalnymi i czasowymi. Mieszczą się one w jednym worku, niesione jak w plecionej, prawdziwej **siatce na zakupy** (z której do dziś pozostała sama „siatka” używana nadal na określenie jej podłej, plastikowej wersji we współczesnych sklepach-marketach). Podaję je w tej chaotycznej formie, z zachętą dla innych do podjęcia i uporządkowanego ich opisu. Są to, mające przedwojenne lub starsze korzenie, słowa, które wchodziły w swoisty nowy kontekst, zyskiwały nowy smak, „socjalistyczny” już w swej treści wydźwięk. To słowa oznaczające elementy ubrania i stroju, jak **piłotka** (czapka z nausznikami, szczególnie nie lubiana przez dzieci i młodzież), **pepegi** (wymawiane czasem jako **pipegi**), **samodział**, **drelich**, **gremlin**, a także i późniejsze prawdziwie niemnące się **koszule** non iron i **ortalion** (**ortalionowe płaszcze**). Mieszają się tu słowa stare i nowe, związane z architekturą miasta i zabawami na **podwórkach**, jak (rozwożące gruz w Warszawie) **wagonetki** (i związane z tym gruzowym, a nie kaukaskim wcale krajobrazem: „**Gruzinki**” – kobiety lekkich obyczajów, oczekujące wieczorową porą na klientów), tramwajowe **cycki** (i jazda na nich)... **Trafika**, **wawele**, **żeglarze**, **extra mocne**, **sporty**, **carmeny**, **caro**, **serso**, **hacle**, **cymbergaj**, **pikuty**, **kupki**, **wyścig pokoju**, **gra w państwa** („Wywołuję wojnę, wojnę, wojnę...”), **gołąbki pokoju**, **rarytasy**, **ovavitina**, **owomaltina**, **pańska skórka** (vel panińska skórka), **pomadki** (czekoladki), **halsztuk**, **fartuszek**, **kołnierzyk** (przyszywany do fartuszka), sprawdzana w szkole **tarcza** i **finka** (wcale nie mieszkanka Finlandii), którą można było grać w **pikuty**, **krajka**, **kopiowy ołówek**, **kalkomania**, **kalka**, **przebitka**, **maszyna do pisania**, **celofan**, **obsadka**, **stalówka**, **redisówka**, **grafion**, **suwak trygonometryczny**, **kałamarz**, **kalichlorek**, **strzelanie z kłucza**, **szytka** (specjalna cienka opona do profesjonalnej kolarki, **wyścigówki**), **willis**, **dekafka**, sklepy za **żółtymi firankami**, **konsumy**, **talony**, **pewexy**, **bony**, **zielone** (dolary), **dewizy**, **książeczki walutowe**, **syfony z wodą sodową**, **saturatory**. Pchają się tu już zapchane („zapłakane deszczem”) autobusy: **szosony**, **sany**, **jelcze-ogórki**, **osinobusy** i **furgonet-**

ki, **nysy**, **nyski** (używane jako milicyjne suki), **żuki**, **syreny**, **warszawy**, **wołgi**, **łady**, **polskie fiaty**, **taksówki** (dawniej tak nazywano, zwłaszcza na wsi, każdy samochód osobowy – „zajechała po niego taksówka”, „przyjechała taksówką”), **okazje**, **łebki** i **łapanie łebka**, **jazdy na łebka** oraz **taryfy**, siedzący w nich **cierpiarze** i **złotowy** (kierowcy taksówek w Warszawie), i **meliny**, do których dowozili spragnionych klientów chcących nabyć **berbeluchę**, niedostępną o tej porze, a sprzedawaną za dnia – tylko **po trzynastej** – wódkę. A nad nimi wszystkimi świeci mi przed oczami niezapomniany, szary, słomkowożółto opalizujący, pełgający blask warszawskiego **neonu** na placu Zbawiciela, który wisiał do transformacji (zawisł jeszcze w latach głębokiego socjalizmu, za Gomułki). Do dziś myślę o nim ze szczególnym rozrzewnieniem jako o łączniku z dawnymi czasami (rozpostartym między starymi a nowymi czasami...), tak samo jak o zadziwiającym paradoksie niesionej przezeń treści, trwającej w tamtym **socjalistycznym** otoczeniu i w kontekście panującej wówczas ideologii. Brzmiał egzotycznie wtedy i brzmi tak teraz, gdy go wymawiam, niemal jak drohobyckie Schulzowskie **Sklepy cynamonowe**: **Sklep Spożywczo-Kolonialny**. Ale takie były nazwy onego czasu. Zawsze podejrzewałem Antoniego Kroha, autora niezwyklej i niezapomnianej książki pod tytułem *Sklep potrzeb kulturalnych* (niedawno ukazało się jej nowe wydanie: *Sklep potrzeb kulturalnych po remoncie*), że ten tytuł jest owocem jego talentu i pisarskiej, literackiej inwencji, tymczasem tak dokładnie nazywał się i pod takim szyldem istniał sklep w Bukowinie Tatrzańskiej, w której autor spędził w powojennych czasach sporą część swego młodzieńczego życia.

Z podobnym rozrzewnieniem wspominam neony i szyldy innych sklepów i instytucji, jak **Delikatesy** (np. te **na Wilczej**, z okazjowymi, wystawionymi w nich, przeznaczonymi na prezenty **koszami delikatesowymi**). Obok licznych luksusowych towarów, których tu nie wymienię, była w takim koszu czekolada **bridge** [**brydż**], wyglądająca imponująco zwłaszcza w czerwonym opakowaniu).

Do takich instytucji należało nieistniejące już dziś na Nowym Świecie przedstawicielstwo **Wagon lits/Cook**, w którym – oczywiście już po zdobyciu paszportu i okazaniu go wraz z wstemplowanymi aktualnymi wizami – można było zakupić bilety na pociągi do Hoek van Holland, by móc przesiąść się tam na prom w kierunku Harwich i w drogę do Londynu, albo bilety do Paryża, **Zachodniego Berlina**, do **NRF-u**, do Rzymu i na inne podróże po Europie. A gdy na pamięć przychodzą te (niedostępne) pociągi, pojawiają się zaraz takie wyrazy jak **lukstorpęda** ciągnąca składy do Gdyni, nad Bałtyk, i słowa, dla których w tych lepszych wagonach nie było miejsca, a znajdowały się tylko w pociągach krajowych, na tabliczkach zakazujących wielu rzeczy, w tym przewożenia w przedziale

płynów żących i cuchnących, a wraz z nimi zapomniana już **peronówka**, bilet, który pozwalał wejść na peron niepodróżującym, odprowadzającym czy witającym osobom. I nie wiedzieć czemu: **klaser** na zbierane znaczki pocztowe.

Gdyby więc przebiec w pamięci przez nieistniejące już pracownie rzemieślnicze w **warszawskich pawilonach** przy Marszałkowskiej i **sklepach na Próżnej** czy przez tamte i ledwie żywe już dzisiaj bazy, przez te wszystkie **pracownie kołder**, **pracownie futer** i **overlocki**, nie pomijając państwowych sklepów **Galluxa**, a także przez te wszystkie **MHD-y**, **CDT-y**, **PDT-y**, **Dom Dziecka** (dawniej **Sklep Braci Jabłkowskich**) i przez prywatne, należące do **prywaciarzy** zakłady oferujące modne stroje, buty, jak **beatlesówki** (**bitel-sówki**) czy **rollingstonsówki** (buty o ściętych czubach i z obowiązkową klamrą), czapki **degolówki** czy **tyrolskie kapelusiki**, w których przez jakiś czas paradowała, stojąc po bramach **żulia**, ale też dla niepoznaki wkrótce zaczęli je nosić **smutni panowie** (**tajniacy**) z nieodłącznymi później, dzierzonymi w rękach **saszetkami**, które znajdowały się na ich wyposażeniu, a które powszechnie nazywano **pederastkami**... I gdyby przebiec przez wszystkie te sklepy (część bazy), w których można było nabyć prawdziwe **jeansy** (**dżinsy**) („Tato, kup mi dżinsy spodnie, żeby było mi wygodnie...” – jak śpiewała Karin Stanek na **grających pocztówkach**) i dżinsy **krajowe** (**odry**) czy **dzwony** (spodnie supermodne, rozszerzane u dołu, w jakich chodzili **Beatlesi** i inne zespoły **bigbeatowe**, których utworów słuchało się na liście przebojów nadawanej o północy w niedzielę w **Radiu Luxembourg**)... Gdyby więc można było przebiec przez te wszystkie **prywatne inicjatywy**, znalazłoby się tu z pewnością i miejsce dla **reparacji i podnoszenia oczek** (naprawa pończoch), nie mówiąc już o **preżeniu firan** (które zgłaszał do *Zapomnianych słów* i obiecywał się nimi zająć Dariusz Czaja – subtelny krakowski pisarz, profesor i antropolog, autor tak znakomitych tekstów i niezwykłych książek, jak *Sygnatura i fragment*; *Gdzieś dalej, gdzie indziej*; *Inne przestrzenie*; *Znaki szczególne. Antropologia jako ćwiczenie duchowe*).

A gdyby jeszcze dodać do tego osobne rozdziały słów pochodzących z twórczości kwitnącej onego czasu, słów zapisanych na metkach, np. słynny **zwis elektryczny** (żyrandol) czy **zwis ozdobny** męski (krawat), i słów szczytywanych na głos na badaniach terenowych, czy na studenckich wakacjach, z receptur i opisów zawartości zakupionych towarów spożywczych, jak ten nieodłączny i wszechobecny wtedy składnik niemalże wszystkich produktów do jedzenia, recytowany, już wspólnie, głośnym chórem na końcu: **glutaminian sodu**! kolekcja takich słów zapomnianych (i nie) mogłaby być zaiste imponująca.

Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć i dodać może rzecz oczywistą, że „zapomniane słowa” wiążą się mocno z doświadczeniem (i przemijaniem) pokoleniowym.

Każde pokolenie ma tu swoje, jeśli trudno by było o nich powiedzieć: zapomniane, to często archaicznie już brzmiące słowa wobec nowych określeń, jak np. zamiast tego dawnego powiedzenia, że **jest w dechę** (a jeszcze wcześniej, jak mówiło pokolenie rodziców: **morowo**), a jakaś rzecz **wdechowa** – dziś usłyszelibyśmy, że jest **w porzo** albo – bardziej wyraziście – że jest **zajefajnie** (**zajefajna**), żeby już nie powiedzieć **zaje...** ostrzej.

Kolekcjonowaniem i badaniem takich i innych słów (nie tylko zapomnianych) zajmowali się od dawna na gruncie etnografii i antropologii kultury współczesnej i zajmują nadal wspomniany już Antoni Kroh z Barbarą Magierową w swoim *Prywatnym leksykonie współczesnej polszczyzny*. W latach 90. wydali nawet kilka zeszytów próbnych i fragmenty tegoż słownika publikowali na łamach „Nowych Książek” i „Kontekstów” – jak ten zatytułowany: *Życie trzeba, czyli jak mieszkańcy miast radzili sobie w realiach PRL*¹. Całkiem niedawno autorzy ten swój oryginalny etnograficzno-antropologiczno-kulturowo-historyczny projekt słownika (pt. *Leksykon panoptikum współczesnej polszczyzny*), przygotowany we współpracy z zespołem „Kontekstów” przedłożyli do konkursu w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki (NPRH). Ambitnie zaprojektowana praca badawcza – uporządkowanie i opracowanie zgromadzonego przez autorów ogromnego archiwum, uzupełnianie dotychczasowych dokumentacji, dodatkowe kwerendy uwzględniające materiał audiowizualny, badania terenowe i seminaria – idąca tropem klasycznych Bystroniowskich badań napisów na ścianach i murach, zaplanowany projekt na kilka lat pracy nad ostatecznym przygotowaniem do druku sześciu tomów od **A** do **Z** słownika, dostawszy się w ręce leksykografów i anonimowych **ślepych recenzentów**, najpierw został odrzucony **z mety** „Jako nieznaczący dla badania dziedzictwa kulturowego, a więc niespełniający warunków konkursu”, potem – po odwołaniach – przywrócony. Ostatecznie przepadł w konkursie z kretesem.

To znaczy, prawdę mówiąc obok jednej, żeby nie powiedzieć, entuzjastycznej, ale na pewno bardzo pozytywnej recenzji doceniającej i rozumiejącej założenia projektu (ocena 100 punktów na 100 możliwych) pojawiła się druga, która przeważała. Była ona skrajnie negatywna, zarzucająca „nienaukowość”. Świadczyła ona o tym, że jej autor nie zadał sobie najmniejszego trudu, aby zapoznać się z podanymi w bibliografii, opublikowanymi już fragmentami słownika, i chyba niezbyt zrozumiał ideę przedsięwzięcia. Oto zaledwie próbka z tej osobliwej recenzji i postawionych zarzutów:

Projekt nie odwołuje się do jakiegokolwiek znanej i przetestowanej w praktyce teorii wyodrębniania jednostek wielowyrazowych (*multi-word units*)... (np. teorii Bogusławskiego wyodrębniania proporcjonalnego, teorii Chlebdy reproduktów, tzw. frazeologii

poszerzonej...). Nie odwołuje się także z drugiej strony [sic! – Z.B.] do metod numerycznych reprezentowanych przez takich badaczy, jak: A.M. Lewicki, D. Bralewski. Brak także odwołania do metod ekscerptologicznych jednostek ciągłych. Dodatkowo nie podano: a) rozmiaru planowanej ekscerpcji, b) rozmiaru i zasięgu materiałów poddawanych ekscerpcji, c) zakresu czasowego (chronologizacyjnego) poszczególnych komponentów poddawanych ekscerpcji, d) filtra, względem którego poprowadzi się ekscerpcję, tj. nie podano, jakie jednostki nie będą wchodziły i z jakiej przyczyny do planowanego leksykonu, (...) tj. nie ujęto wstępnej, planowanej charakterystyki jednostki leksykograficznej, f) stopnia lokalizacji ekscerptu (tj. dokładności, z jaką będzie się ujmować ekscerpty). W tym sensie Projekt nie ujawnia żadnej informacji o eks-erptorach [sic! – chyba chodzi o autorów projektu? – Z.B.], tj. o ich doświadczeniu w zakresie subtelnego i obłożonego teoretycznymi warunkami wyodrębniania wielowyrazowców lub jednostek o charakterze ciągłym.

Przytaczam ten nieszczęsny fragment (ekscerpt) i przypadek (także jako szczególny przypadek zafiksowania się na słowie „**ekscerpt**”) z tym większą wdzięcznością i uznaniem dla wydawnictwa Czarne za jego pomysł zajmowania się *Zapomnianymi słowami*, polecając jego pamięci i uwadze autorów tego niezrealizowanego wciąż projektu wydania *Prywatnego leksykonu współczesnej polszczyzny* autorstwa Barbary Magierowej i Antoniego Kroha, czy też *Leksykonu - panoptikum współczesnej polszczyzny*, licząc po cichu na to, że może ich w jakiś sposób w przyszłości będzie wspierać, tak by nie pozostali osamotnieni i skazani na wieczne – żeby nie powiedzieć – potępienie, jak wskazało na to jury konkursu, ale – co na jedno wychodzi – poszukiwanie jakże wątpliwych możliwości wydania tego dzieła **własnym sumptem**.

Przytaczam ten fragment również dlatego, że mając na myśli to pokoleniowe doświadczenie związane z zapomnianymi słowami, o którym była mowa, życzyłbym współczesnym wschodzącym pokoleniom młodych naukowców, żeby takie nowe słowa i powiązane z nowymi **wielowyrazowcami** praktyki, jak **ślepy recenzent**, **ślepa recenzja**, **podwójnie ślepa recenzja** (double-blind review), obok innych słów związanych ze współczesną anonimową, biurokratyczno-urzędniczo-„naukową” i pseudonaukową (zawsze wiedzącą z góry, jak jest, jak powinno być i jak należy coś zrobić), systematycznie dziś rozbudowywaną i szerzącą się **(sub)kulturą podejrzliwości i braku zaufania** (ale to już ogromny temat zasługujący na odrębne opracowanie) zniknęły na zawsze. Wraz ze związanymi z nią takimi słowami, jak **anonimowy ekspert**, **ewaluacja**, **parametryczna ocena**, **punkty**, **punktacje** i **punktory**, według których zmierza się do oceniania projektów i prac

naukowych mających przecież być przede wszystkim, jak było to zawsze i o co zawsze, i w gruncie rzeczy, w nauce chodziło – oryginalnymi, niepowtarzalnymi, twórczymi poszukiwaniami badawczymi i wysiłkami intelektu i ducha. Życzę im zatem, żeby stały się jak najszybciej **zapomnianymi słowami**, szczególnie zaś tym dzisiejszym nowym i najnowszym pokracznym, osky-moronicznym słowom i „pomysłem” na rozwijanie **innowacyjnej humanistyki, nauki dla biznesu (biznesu)** i za nimi idących **grantów** (zwanym już coraz częściej w środowisku „**grandami**”, czy jak to nazwała dr Joanna Krakowska-Narożniak „**grantoza**” – specyficznego już rodzaju współczesną chorobą trawiącą naukę i jej zagrażającą), „naukę”, w której przerabianie i kształcenie umiejętności wypełniania odpowiednim językiem (z użyciem odpowiednich słów kluczowych), odpowiednich wniosków (obmyślanych przez **urzędników**), niczym w fabryki produkcyjne mają się zamienić uniwersytety – życzę im zatem z głębi serca, żeby tak jak i powoływane co rusz dla przerabiania na ten cel pieniądze: **NCN-y**, **NCK-i**, **NPRH-y** i inne podobne – (A jakże! Co ich ugryzło i ukąsiło?) – **Narodowe** w nazwie instytuty i instytucje, z ich urzędnikami „**Konkursy**” i „**Komisje**”, stały się jak najszybciej **zapomnianymi słowami** na wzór tych z tamtego czasu (a warto zwrócić uwagę, że zawierają one w sobie niewątpliwie jakieś z „niemi” tajemnicze niezatarte podobieństwo **nowomowy**, ba, bliźniaczą niemal pychę, tej samej „jedynie prawdziwie naukowej” aktualnej **nowomowy**). Oby podzieliły jak najszybciej los takich już dziś **zapomnianych słów** związanych z poprzednimi czasami, które budzą już dziś nie grozę i zgrozę, ale pogodny uśmiech i politowanie, jak ta słynna **marlena** („marksizm-leninizm”, przedmiot obowiązkowy, wykładany swego czasu na wydziałach nie tylko filozofii, ale także na rozmaitych kursach, na uniwersytetach i na politechnikach) czy **baza i nadbudowa, socjalistyczny w treści, narodowy w formie** (albo – już nie pamiętam, czy nie odwrotnie – czyli, jak to mówią: wis-a-wis, zasłyszane także w Jeleniej Górze w latach 60. jako „**wit-za-wit**” i **vice-versa!**).

Tego zatem życzę wszystkim dzisiejszym „naukowym” nudziarzom i skazanym na ich nowomowę młodym pokoleniom, żeby te nowe słowa jak najszybciej stały się dla nich (oczyszczając się z grozy i swego pociągającego demonizmu, mocy „**posiadania wiedzy**”, co to wszystko wie, cudownie od razu tłumaczy i wyjaśnia: „jak jest naprawdę” i „jak być powinno”, która ogarniając właściwie wszystko, staje się aktualną „wszechwiedzą”, a tak po prawdzie przede wszystkim wiedzą, jak otwierać drzwi do pieniędzy: aktualnie jedynej uprawianej dziś „właściwej wiedzy”, i żeby oczyszczając się ze swej niemiłościwie wszechpanującej, wszechmocnej i aktualnie wszechobecnej głupiej przemocy jak najrychlej, żeby stały się prawdziwie **zapomnianymi słowami**. Aby otoczyły się jak najprędzej, jak tamte

mgiełką zabawnego już dziś przecież, zawartego w nich niegroźnego, śmiesznego tylko „uroku”, na które teraz możemy spoglądać już z dystansu i z rozrównaniem, i z nieodłącznym od nich uśmiechem i humorem, gdy się je wywołuje już tylko we wspomnieniu i gdy we wspomnieniu widzimy „**je już bez bólu**”, jak się tu pojawiają, żeby już ta „**nowa**”, „**innowacyjna**”, wciąż na nowo pojawiająca się i odnawiająca złożona absurdalność i oksymoroniczność słów **nowych** (w tym także – a jakże! – **nowych wielowyrazowców**), nie musiała powodować tak żywej furii, z jaką jeden ze znajomych piszącego te słowa, nie mogąc uznać onego czasu, pogodzić się z tym i stale w tej sprawie, co roku, podnosząc głos, protestował przeciw używaniu i nadużywaniu, ale też w obronie starego, szlachetnego, „**zapomnianego**”, a wówczas wręcz wymazywanego i wyszydzanego słowa, które jednak było tak ochoczo rytualnie wypowiadane, ze szczerą lubością i nadętą powagą przez **pierwszych sekretarzy**, na koniec każdego ich przemówienia, którym zwykli otwierać swoje pierwszomajowe pochody, gdy wymawiali je, przeciągając i najpierw z wschodnią, a później i z zachodnią akcentując: „Niech się święci 1 MAJA” – „Dlaczego święci?!, Dlaczego święci?! Dlaczego mówią: «święci»!.. – pomstował. – Przecież powinni mówić: «Niech się **marksi** 1 MAJA!»”.

Po uczynieniu tej nieco obszernej, ale niezbędnej dygresji, nie tylko w celu ukazania, jak rozumiem i czuję **zapomniane** słowa, lecz także aby wskazać (na być może także oczywisty) jeszcze jeden z istotnych elementów w ich strukturze i charakterze, a mianowicie, że dają się one lepiej uchwycić dopiero z oddalenia (we wspomnieniu) i w kontraście do słów i czasów nowych, do słów i rzeczywistości za nimi stojących: współczesnego języka i współczesnej „**nowej**” mowy, powracam już do samych w sobie – **krachli** i **sztrolwerka** – pełnych swoistego prawdziwego czaru i smaku, powoli i niespiesznie zmierzając do końca.

Słowo **krachla** od tamtej pamiętnej dla mnie sceny na Błoniach, słyszane przeważnie w kręgu rodzinnym w Krakowie, pojawiło się jeszcze raz w sposób całkiem naturalny, ale muszę od razu dodać: szczególny i mocny, jeszcze w latach 90. Powróciło do mnie przy okazji rozmowy z Piotrem Skrzyneckim o **uciekających zdjęciach**, gdy przygotowywał się do nich, kręcąc swój (niezrealizowany do końca) film o placu Na Groblach. Miała to być opowieść o mieszkaniu Janiny Garyckiej przy placu Na Groblach, w którym zamieszkał na chwilę, a – jak się okazało – z którym był związany przez długie lata. Wtedy też pierwszy raz poznałem to magiczne, a dobrze znane w środowisku filmowym profesjonalne, techniczne, filmowe określenie, które mnie tak urzekło i które ma pewnie wiele wspólnego z „**zapomnianymi słowami**”. – „**Uciekające zdjęcia**” to zdjęcia, z którymi trzeba się śpieszyć, aby je w porę nakręcić. Piotr żył już realizacją tych zdjęć. Wydarzenia goniły wydarzenia, bo „po drodze” trwały przygotowania bądź już

odbywały się obchody piwniczne, związane z innymi wielkimi postaciami Krakowa, chociażby urodzinowo-jubileuszowe uroczystości poświęcone dr. Andrzejowi Szczeklikiowi, prof. Henrykowi Markiewiczowi, Jerzemu Turowiczowi. „**Uciekające zdjęcia**”, nad którymi Piotr pracował, to termin techniczno-produkcyjny, z praktyki znakomicie znany filmowcom, mniej antropologom. Oznacza on zdjęcia, do których trzeba przystąpić natychmiast, gdy obiekty (także np. stany pogody, pory roku itd.), które chcemy zarejestrować, mogą przestać istnieć. Inaczej mówiąc: są to obiekty, których zagrożone istnienie wymaga szczególnego (częstokroć przyspieszonego) trybu pracy, tak by uratować szansę realizacji całego filmu według przygotowanego programu. W tym przypadku chodziło o mieszkanie na tej samej ulicy, ale po przeciwnej stronie, położone bliżej Powiśla, w którym Piotr także kiedyś mieszkał, zanim znalazł swoją przystań u Janiny Garyckiej. Teraz należało się śpieszyć, by zdążyć przed wyprowadzką obecnej właścicielki i lokatorki, zrobić je, zanim mieszkanie opustoszeje, zanim zostanie oddane do remontu, po którym nigdy więcej nie będzie możliwe zarejestrowanie jego dawnego wyglądu. „**Uciekające zdjęcia**” – „**zapomniane słowa**”.

Zacznę od tego fragmentu z **krachlą**, potem dodając parę innych. Pełny tekst rozmowy czytelnik może znaleźć tam, gdzie jej zapis ukazał się pierwotnie²:

„**Piotr Skrzynecki**: No więc będzie też i ta moja, dziwna historia... Był taki facet, który mieszkał tutaj i miał na rogu sklepik, to strasznie śmieszne... Nawet chcę wmurować tablicę. Sklepik był na rogu, a on mieszkał jak gdyby po przekątnej, po drugiej stronie. Oni mieszkali w suterenie, wiesz, w takim maleńkim pokoiku, i on calusieńką noc patrzył, czy tam ktoś go nie okrada, i rzeczywiście raz, jak zasnął, to...

Zbigniew Benedyktowicz: Z czym ten sklep?

P.S.: Takie tam, kapusta, groch, weki, ciastka, **krachle**, orzechy stare, świeże bułki, takie duperale. No i on mnie okropnie sekował, okropnie. Ciocia Ola, która była naszą Panią, nosiła co prawda węgiel, bo ja nie chciałem. Prosiła: „Idźże, Piotrusiu, zrób chociaż jakieś zakupy”. A ja na to, że już wolałbym węgiel nosić, bo on mnie strasznie sekował, on nigdy nie chciał mi sprzedać tych bułek. A ja jak głupi chodziłem.

„Nie mogę iść, Pani Olu, bo mnie wyrzucił”. „Kupże ogórków” – „wyrzucił”, „kupże coś tam” – „wyrzucił, wyrzucił”, itd., itd., itd. I pewnego dnia... Po latach dziesięciu, dzwoni w środku nocy jego żona do drzwi i mówi, że mąż ma zawał serca, że jest na pogotowiu i prosi, żebym do niego przyjechał. No i pojechałem, on leżał na korytarzu i złapał mnie za rękę, po prostu chciał coś powiedzieć, i umarł. I dlaczego chciał mnie zobaczyć? Nie wiem, co chciał mi powiedzieć, dlaczego mnie wezwał.

O co mu chodziło? Może po prostu mnie lubił i okazywał to w sposób dość przewrotny, ja to wziąłem też pod uwagę. Ale jak to pokazać, jak to opowiedzieć? To

mnie tak zdumiało, że on chciał coś... Ale nie wiem, co... I to jest dla mnie tajemnica. To też chciałbym pokazać. To będzie na pewno. (...)

Ale to już wtedy bardzo się łączyło z tym moim obecnym zamiarem, mianowicie z pomysłem, by zrobić taką opowieść o placu Na Groblach, gdzie spędziłem 20 lat, przeszło nawet. To bardzo zresztą ciekawa historia. Bardzo przyjaźnię się z Janiną Garycką, jak wiesz, ale ja się tam u niej znalazłem przez moje nieszczęście. Złamałem nogę i nie miałem gdzie mieszkać wtedy. I ona mnie ze szpitala sprowadziła do siebie i tam miałem być tylko chwileczkę, a byłem 20 lat. Na 20 lat tam zostałem. Ja już się bałem, że umrę na tych Groblach...

Z.B.: Ten film ma zatem być o miejscu bardzo związanym z Tobą. Pamiętam, jak się przyjeżdżało do Krakowa, to właśnie mówiono, że jak ktoś chce Piotra znaleźć, to trzeba wpierw Na Groblach pytać, bo Ty byłeś wtedy człowiekiem nieuchwytnym, a Groble były takim adresem Twoim, pewnym, stałym.

P.S.: Tak było. Tamte czasy stają się coraz mniej dostępne, coraz mniej uchwytne, coraz trudniejsze do opisanie, a co dopiero mówić: do pokazania. Potem miałem taki pomysł, tylko że u mnie wolno to wszystko strasznie idzie, chciałem zrobić sceny w naszym punkcie spotkań, niestety Kolorowa, kawiarnia, gdzie przychodziliśmy 30 lat, została zlikwidowana, jest tam teraz już bar, taki nowy „piękny”, wiesz, jak teraz wszędzie.

Z.B.: Kraków się strasznie zmienia...

P.S.: Tak, i trzeba się spieszyć, bo inaczej tego się nie wygra, no i te miejsca, nasze, to zupełnie taka już kompletnie zagrożona rzeczywistość. A to nawet już nie tylko z perspektywy czasu śmierci wydaje mi się ważne. Bo jeżeli się spotkamy po śmierci, a mam ten zamiar, to ja tak samo Ci opowiem to, co teraz, bo tamten czas się skończył, no umarł po prostu.

Z.B.: Ale Groble istnieją, żyją...

P.S.: I mnie to najbardziej imponuje, ludzie odchodzą, domy zaczynają być, wiesz, zmieniane, malowane. Tu trzeba się spieszyć. Ja wiedziałem, że to są uciekające zdjęcia. Że to jeszcze jest miejsce, które jest do opisanie, ponieważ ono jest jeszcze do pewnego stopnia takie samo, a już za trzy, cztery lata ono będzie skończone, bo tam taki wielki hotel budują i tam będą parkingi. A to, co jest dla mnie fascynujące, to, że ten plac Na Groblach – najbardziej ponury, zapluty plac w Krakowie – właściwie dzięki tej Janinie Garyckiej, gdy żyły jeszcze w tym mieszkaniu dwie stare ciotki, które lubiłem, to był – przez lata – jedyny taki prawdziwy ośrodek, nazwijmy to, artystyczny. Bo tam naprawdę przychodziło mnóstwo ludzi do tej kuchni i na to podwórko, po którym latały szczury. Ja nie mówię o artystach i ludziach z samej Piwnicy, bo poza tym tam wszyscy bywali w tejże kuchni. I z dużym zaciekawieniem dziś patrzę na to, bo to było dość egzotyczne. I to jest bardzo śmieszne, że to nie była żadna koncepcja, wiesz, estetyczna! Czy coś w rodzaju manifestu, czy

wymyślonego programu artystycznego, żebyśmy mogli się w tej kuchni spotykać... Po prostu nie było gdzie. To była konieczność. Nocne życie, jak wiadomo, nie istniało. Był tam jeden SPATiF, czy coś takiego, ale zamykali wcześniej. A już mowy nie było o żadnych naszych kabaretowych spotkaniach w Piwnicy. Po kabarecie w Piwnicy nie wolno było zostawać, za żadną cenę, to też paradoks! Pół godziny po kabarecie musieliśmy wychodzić, nie dało rady, natychmiast nas wyrzucali. I pewnego dnia ja zaprosiłem ludzi do tej kuchni, no i potem przychodziliśmy tam prawie codziennie. W nocy... Tam bywała czasem niesamowita ilość ludzi. Ktoś kiedyś przyprowadził 30 czy 20 aktorów, z Moskwy, tam bywał i Łomnicki, i Hasior, i Łucja Prus – pamiętam, taka była wspaniała itd., itd. Dziesiątki ludzi tam przychodziło rozmaitych, którzy przez Piwnicę się przewijali. Była to zupełnie sytuacja dziwna. Tymczasowa. Ale ja wtedy tamto uważałem za rzecz stałą, niezmienną. Trzeba było sobie czas urozmaicać i stąd, w ogóle, ta cała sprawa Piwnicy. Tak, dziś wydaje się, że to już nie ma sensu, bo czas jest teraz bardzo interesujący, tyle rzeczy dzieje się ciekawych naokoło. Ale jednocześnie mi się wydaje, że to chwilowo tylko. No nie wiem, może to będzie miesiąc, dwa... trzy...

Z.B.: I co, będzie znowu potrzeba takich miejsc jak Groble, żeby gdzieś uciec, schować się?

P.S.: Tak, żeby uciec, bo tam jednak to był taki trochę azyl. To była trochę taka ucieczka przed rzeczywistością. Bo ten film właśnie dotyczyć ma kwestii pewnej tajemnej enklawy, jaką jest Piwnica w Krakowie, czy jaką były Groble, zresztą te rzeczy będą się nakładać na siebie w filmie. Bo dla mnie moje bycie na Groblach, w mieszkaniu Janiny, ciotek itd., itd., i jednocześnie moje uczestnictwo w życiu na Groblach (mnie tam bardzo polubili) to rzecz, którą się do dzisiaj zdumiewam. I to zdumienie, że coś takiego jest możliwe, chciałbym wywołać w obrazach. Bo dla mnie ten pobyt jest takim surrealitycznym przedstawieniem, które trwało 20 lat, z którego ja sobie już zdawałem sprawę, będąc tam wtedy. I ten film ma być skonstruowany jak przedstawienie.

Ja sobie wyobrażam 11 zdarzeń z tych 20 lat, być może 30, które, dziś już, trzeba będzie zainscenizować. I które są opisane, bo opowiedziałem to jednemu poecie – Zbigniewowi Książkowi, a on ułożył to w wiersz, który stał się tekstem piosenki.

Z.B.: A kto pisze muzykę?

P.S.: No, oczywiście Zygmunt! Zygmunt Konieczny. Nie tylko dlatego, że to znakomity, niezwykły, wspaniały nasz kompozytor. Ale on także był bardzo związany z Groblami, i on to czuje świetnie. Tam się właściwie wychował, nie powiem: ukształtował. Tam jadł jajecznicę u Janiny, zupy u cioci Oli itd., itd. Wiesz On tam żył tak jak my. Żył, co noc, bo nie było gdzie żyć. I te noce tam... To będzie bardzo ważnym elementem. Tam nie ma czasu, tam każda chwila jest ważna...

Bo każde takie zdarzenie, każda chwila może się okazać chwilą ostatnią, bo czasem też taka chwila wywołana w obrazie, którą się przywołuje, może się okazać, że to nie chwila wcale, ale że to trwało 20 lat...

I ja teraz mam taki pomysł, który jest dla mnie bardzo ważny. Widzisz, te zdarzenia opisane w piosence, która będzie na końcu, ja chcę opowiedzieć mojej własnej babce – co nie będzie w tym filmie wyraźnie powiedziane. To jest moja z nią rozmowa, takie do niej przesłanie. A ja oglądam te *Groble*, jakbym umarł... Znanie jest powiedzenie Marka Aureliusza: „Pamiętaj człowieku, jak się budzisz dzisiaj rano, traktuj siebie, jakbyś umarł wczoraj, a dzisiaj zmartwychwstał, i żyj tak, jak byś chciał”. I to trochę jest taka wykładnia.

Bo ja miałem tę bardzo śmieszną babkę, taką ekscentryczną, bardzo ciekawą, którą lubiłem, ale nie zdążyłem nigdy dobrze jej poznać. Ona mnie fascynowała i fascynuje do dziś. Chodziła w długich pelerynach, w modnych kapeluszach, jako małe dziecko to zauważyłem. Jeździła zawsze wspaniałym samochodem po Warszawie. Potem pojechała do Paryża... Zamordowali ją Niemcy w czterdziestym pierwszym roku. Czekaj, kiedy Niemcy zajęli Paryż?... W czterdziestym, to ona została zamordowana w czterdziestym pierwszym roku. Ja zrozumiałem dopiero potem, dlaczego matka tak strasznie płakała w czterdziestym roku na Nowym Świecie. Pamiętam, szliśmy wtedy w Warszawie Nowym Światem i ona mnie gdzieś chowała po kątach. I ja mówię: „Dlaczego płaczesz?”... „No, bo Niemcy zajęli Paryż! – powiedziała. – Nie zobaczysz już więcej babki... swojej...”

I nie zobaczyłem. Ona została zamordowana w Mauthausen, jak większość tej rodziny. To była niesamowicie fantazyjna kobieta, ta moja babka. I ja jej chcę to moje życie na *Groblach* opowiedzieć, i o tych zdarzeniach rozmaitych, których tu byłem świadkiem... Chcę jej to powiedzieć tak, jak matce. Dlatego ona na początku filmu się pojawi, jak jedzie pięknym samochodem z trzydziestego roku. To będzie konfiguracja kompletnie niezrozumiała dla widza, ale dla mnie ważna.

Ja nie mogę być konferansjerem tych wydarzeń. Bo to będzie takie wspomnienie nie-wspominanie, wolalbym te zdarzenia opisywać, ale oczywiście komuś, nie sobie. Poza tym ja chcę zrobić przedstawienie *O Groblach na Groblach*, ale przedstawienie takie prawdziwe, wiesz, oczywiście dla publiczności, zresztą ono będzie robione z publicznością. Tak chciałem.

Z.B.: Zaczepteniem tych wszystkich wydarzeń jest dom Na Groblach 12, bo to był ten ostatni Twój stały adres?

F.S.: Tak, to dom Janiny, przez który to dom te zdarzenia są jak gdyby obserwowane. Ale ja nie chcę, żeby to było o Janinie, ani nawet o jej domu, a tylko o tym, że przez to okno jedno na świat spoglądałem...

I to jest zabawne, że ilekroć chciałem opowiedzieć, co tam widziałem, to mi nikt nie wierzył, i po to jest,

w ogóle, to przedstawienie: żeby ci mieszkańcy, ci, co jeszcze żyją, wiedzieli o tym, co się wydarzyło, dlaczego tam było tak zabawnie, właśnie poza domem Janiny, który był strukturą podstawową, wewnętrzną – tak myśmy na to patrzyli. Ten dom oczywiście będzie opisany, ale nie on tu jest najważniejszy. Przede wszystkim: *Groble*. Jeżeli uda mi się ten film o *Groblach* zrobić, to może potem uda mi się i o Janinie opowiedzieć. Bo to jest fascynujące: jej awantura z Piwnicą.

Wyobraź sobie młodą, piękną kobietę, intelektualną, asystentkę, profesorkę uniwersytetu, i ona nagle kiedyś do tej naszej brudnej Piwnicy przychodzi i tu zostaje. Dlaczego tu została, zamiast pisać naukowe prace? Jest przecież doktorką filologii, napisała parę wspaniałych prac, a została malarką obrazów i naszą scenografką wspaniałą. Ileż ona programów zainspirowała, ileż tekstów zasugerowała...

Dalej, zdarzenie dziwne: powiesił się jeden młody malarz, bardzo fajny, Marek J. Piotr?... Marek! Żona, bardzo piękna osoba, pojechała na wakacje z dziećmi, dwoje dzieci mieli. Powiesił się na strychu, i ją sprowadzili. Taka para, co to się niby kochała, i ludzie ją prosili, żeby ona dawała po kawałeczku tego sznura, bo to przynosi szczęście, to ona oburzona powiedziała, że mowy nie ma, to mi opowiadał jeden mój znajomy, a potem powiedziała, no dobrze, ale niech każdy płaci po 5 tysięcy...

A potem była taka historia na *Groblach*, tam był taki sklepik na rogu, spożywczy, a potem piekarnia. Dwaj bracia założyli piekarnię i jeden z nich też się powiesił. I ja chcę użyć tych dwu opowieści i je połączyć; tamtego Marka i tego jednego z braci piekarzy. Bo to też mi opowiadała sąsiadka, że ona tam poleciała zobaczyć, jak on wisi, odcięli go naturalnie. I znów zbiegli się ludzie, też chcieli po kawałeczku, a ta wyjąca, rozpaczająca żona powiedziała, a teraz, to po 100 tysięcy. Tak się zmieniły czasy...

Z.B.: Kiedy to było?

P.S.: Niedawno. Ile to było? Pół roku czy coś takiego. Tam śmierć krążyła cały czas, tak jakoś bardzo namacalnie. (...)”

Wspomniany wiersz Zbigniewa *Książka Groble, Groble*, a także szkic scenariusza filmu *O groblach na Groblach* można znaleźć w „Kontekstach”³.

Nie muszę dodawać, że dziś w odnowionym domu na placu Na Groblach 12 nie ma żadnego najmniejszego już śladu po mieszkaniu Janiny Garyckiej, żadnej pamiątkowej tablicy. Nie ma też tablicy upamiętniającej **sklep z krachłą**, tej, o której zawieszeniu wtedy myślał i mówił Piotr Skrzynecki...

Nigdy nie zapytałem ojca, skąd wzięła się ta nazwa cukierka: sztolwerek, i co właściwie znaczyła. Domyśliłem się sam, już po jego śmierci, gdy kupowałem czekolady Alpen Gold z logo firmy **Stollwerck** na opakowaniu, kiedy już się pojawiły w supermarketach i sklepach. W bogatych zasobach wyszukiwarki Google

i w Wikipedii można znaleźć mnóstwo informacji o tej firmie powstałej w 1839 roku, założonej przez piekarza i cukiernika Franza Stollwercka w Niemczech w Kolonii.

Na koniec tych rozważań o „zapomnianych-niezapomnianych słowach” zostawiam te, także zasłyszane od ojca, które wymawiał z radością i z uśmiechem, szczególnie gdy był w dobrym humorze. Czasem brzmiały uroczyście i niezwykle podniosłe, ale zarazem i niepozbawionych ironii, wypowiedzianych z entuzjazmem, którymi zwracał się do nas na powitanie i na pożegnanie, gdy nas widział. Nigdy nie pytaliśmy o nie. Dziś nie mogę go już zapytać o ich pochodzenie i znaczenie: **Serwus, serwus! Kristikotka Szamaliner!**

Co to było, skąd się wzięły? Nie wiem. Czy była to próbka zmyślnego „obcego języka”, zabawa i gra w niezrozumiałą obcą mowę? Oczywiście, rozpoznawalne słowa na powitanie; *serwus* (łac. sługa), już dziś rzadko używane (najwyżej w wątpliwym dowcipie: „Serwus, jestem nerwus”), były nam dobrze znane w prawdziwej, szlachetnej wersji, z czytanych *Chłopców z Placu Broni* Molnára (po węgiersku pisane zapewne „szerwusz”, i nie trzeba o to pytać Vargi ani się z nim konsultować). Powszechnie znane, używane na dawnym obszarze CK – Cesarsko-Królewskiej Monarchii Austro-Węgierskiej, w środkowej Europie, Galicji, Krakowie i na Bałkanach, na południu Europy. Ale reszta? Czy pochodzą z jakiegoś wodewilu? **Witzu**, (żartu)? Szczeniackiego, uczniowskiego przedrzeźniania obcej mowy? Nie pomogą Google. Po wrzuceniu weń te słowa rozpadają się na absurdalne bezsensowne cząstki i wpadają pomiędzy niedorzeczne linki:

Kristikotka: Agatha Christie, Kot wśród gołębi (ang. *Cat Among the Pigeons*) – Kotka wśród gołębi?

Szamaliner zaś rozpada się na angielskie **Liner** (Linowiec? Żeglowiec?), np. „RMS Queen Mary – brytyjski liniowiec pasażerski zbudowany w 1934 w stoczni John Brown Shb. Co. Ltd. w Clydebank (Wielka Brytania, nr stoczniowy 534), który obsługiwał linię Southampton – Nowy Jork”, oraz na węgierskie **szám: arab szám** (cyfra arabska), **barátságos számok** (liczby zaprzyjaźnione), **csek száma** (numer czeku), **egesz szám** (liczba całkowita).

I na wiatr: **szamal** (także znany jako **barih al shamaal**; ang. *Shamal, shemaal, shimal, shumal*), wiejący z kierunków północnych i północno-zachodnich, gorący, suchy, i często gwałtowny wiatr występujący w rejonach Półwyspu Arabskiego, zwłaszcza w dolnej części Eufratu i Tygrysu oraz w Zatoce Perskiej.

I na zawołanie, wezwanie: **Shema Izrael (Słuchaj Izraelu)**, dające się słyszeć kiedyś na krakowskim Kazimierzu...

Szamaliner?... I na: **szamanie, szamaństwo**, i na **szamać, szama** („jeść”, „jedzenie”), jak w jednym ze współczesnych wpisów-komentarzy do cyklu zdjęć zamieszczonych w „Dużym Formacie” pt. *1,6 m. do*

życia. Honkong (przedstawiających slumsy w Honkongu: „zdjęcie nr 5: jest chiński ajfon, gajer, grube audio i szama na wynos.”⁴).

Purnonsensowy charakter tych słów: **Kristikotka Szamaliner**, czyniących niejasne, wieloznaczne aluzje, tak naprawdę nie wiadomo, do czego, jakże przypominają absurdalną dwuznaczność czy wieloznaczność nieobcą „słownikowym znaczeniom”, zbieranym w słownikach, na którą zwracał uwagę Søren Kierkegaard, zastanawiając się w *Diapsalmatach* nad swoim życiem: „Kiedy zastanawiam się nad różnymi jego epokami, wydaje mi się, że z moim życiem jest jak ze słowem *Schnur* w słowniku, które po pierwsze oznacza sznurek, po drugie synową. Brakuje tylko, aby jeszcze po trzecie znaczyło «wielbłąd», a po czwarte «purchawka»”⁵.

W bezradności zostawiam więc te niejasne, bezsensowne, zapomniane słowa tu na koniec, jak rozbitek, który wkłada list do butelki rzuconej na morzu, wołając o ratunek. Może jeszcze ktoś je odnajdzie, określi miejsce, skąd się wzięły oraz skąd pochodzą, i je wyjaśni: **Serwus, serwus, Kristikotka Szamaliner!**

Przypisy

- 1 B. Magierowa, A. Kroh, *Prywatny leksykon współczesnej polszczyzny*, Sąddecka Oficyna Wydawnicza Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Nowym Sączu, zeszyt zerowy a-z, 1995; zeszyt 1. *aaż – baterflajki*, 1996; zeszyt 2. *bateria -celownik*, 1996; zeszyt 3. *Cena – czerwona*, 1996; zeszyt 4. *czesać – dopiąć*, 1997; zeszyt 5. *doping – ekipa*, 1997.; B. Magierowa, A. Kroh, *Prywatny leksykon współczesnej polszczyzny*, (wstęp oraz próbka hasel), „Polska Sztuka Ludowa. Konteksty” R. XLV, 1991, nr 1 (212).
B. Magierowa, A. Kroh, *Życ trzeba, czyli jak mieszkańcy miast radzili sobie w realiach PRL*, „Polska Sztuka Ludowa. Konteksty” R. LXIV, 2010, nr 4 (291).
B. Magierowa, A. Kroh, *Piłka jest okrągła albo kwadratowa, czyli o polszczyźnie futbolowej*, „Polska Sztuka Ludowa. Konteksty” R. LXVI, 2012, nr 3-4 (298-299).
- 2 B. Magierowa, A. Kroh, „Mylny błąd”, wybór hasel z pierwszego tomu *Prywatnego Leksykonu Współczesnej Polszczyzny*, „Nowe Książki” 2/2003.
- 3 Z. Benedyktowicz, „Uciekające zdjęcia” – Rozmowa z Piotrem Skrzyneckim, „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”, nr 3-4, 1992, s. 168-171.
- 4 „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”, nr 3-4/1992, s. 172-176.
- 5 https://www.facebook.com/permalink.php?id=117616731627053&story_fbid=596982490357139 ale na zdjęciu 5 (http://wyborcza.pl/duzy_kadr/5,97904,15051951.htm?i=4) 2,6 metra do życia, Honkong 30.11.2013 15:24, aktualizacja 30.11.2013 15:55).

Søren Kierkegaard. *Diapsalmata* [w:] tegoż, *Albo-Albo*, t.1, z oryginału duńskiego przełożył i wstępem opatrzył Jarosław Iwaszkiewicz. Warszawa 1976, s. 38.